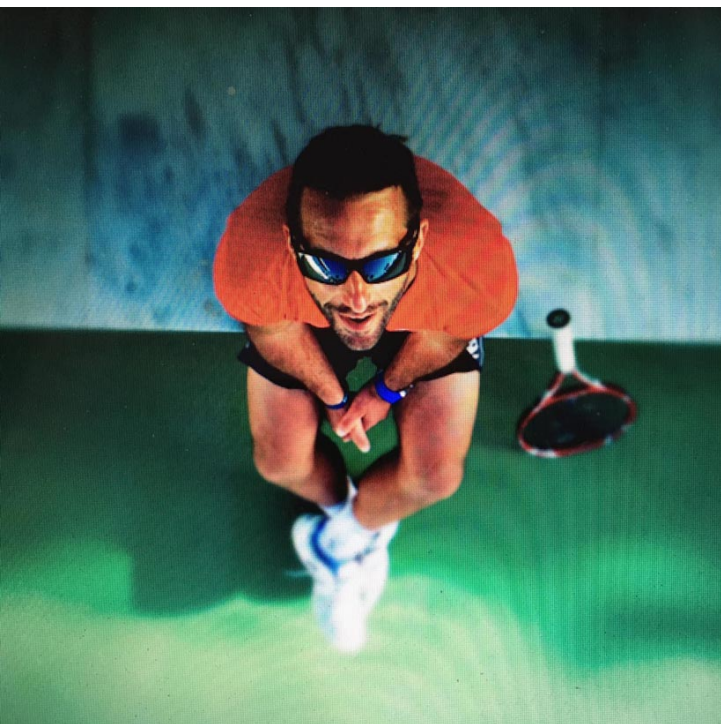


Aleksander Charpantidis: Mam szczęście, bo całe życie robię to, co kocham

maciej · 2 lutego, 2023



Aleksander Charpantidis, trener Polskiego Związku Tenisowego mężczyzn kategorii 18-23, mówi o pracy z najlepszymi zawodnikami w Polsce, miłości do tenisa, o studiach w Stanach Zjednoczonych, grze... w pokera i o tym, dlaczego nie udało mu się zrobić kariery zawodowego tenisisty w rozmowie z Grzegorzem Świącickim.

Miałeś okazję współpracować z kilkoma dobrymi tenisistami na czele z Hubertem Hurkaczem i Michałem Przysiężnym. Z perspektywy czasu, z kim pracowało Ci się najlepiej?

– Praca z każdym zawodnikiem była dla mnie olbrzymią nauką. Zawodnik uczy się od trenera, a trener od zawodnika. Poza sposobem gry, największe różnice między tenisistami tkwią w ich charakterze. Do każdego trzeba podejść inaczej. Niektórych trzeba tak naprowadzić, żeby im się wydawało, że sami na coś wpadli. Jedni są bardzo profesjonalni, innych trzeba mocno stopować i trzymać rękę na pulsie. Z każdym praca była ciekawa i od każdego sporo się nauczyłem. Zawsze dawałem z siebie sto procent i tego samego oczekiwałem od swoich zawodników. Nie chcę nikogo wyróżniać. Z Kacprem Żukiem pracowało mi się bardzo dobrze, podobnie jak z Michałem Przysiężnym, z którym trenowałem od dziecka jako zawodnik. To była jednak zupełnie inna relacja. Z Hubertem była jeszcze inna. Każdy coś dodał do mojego warsztatu i rozwinął mnie jako trenera. Sporo wniosków też wyciągnąłem ze sposobu w jaki dana współpraca się kończyła. Jestem teraz bogatszy o te doświadczenia.



- Praca z każdym zawodnikiem była dla mnie olbrzymią nauką. Zawodnik uczy się od trenera, a trener od zawodnika – mówi Aleksander Charpentidis.

A jak oceniasz swój wkład w rozwój kariery Huberta? Co w Twojej ocenie wniosłeś do jego tenisa?

- To chyba bardziej pytanie do zawodnika niż do trenera. Jeśli pytasz o moją ocenę, „Hubi” może oczywiście się z tym nie zgodzić, to były przede wszystkim kwestie związane z taktyką i ze sposobem wygrywania punktów. Oczywiście Hubert był już ukształtowany technicznie, ale jak wiesz zawodnicy rozwijają się pod tym względem przez całą karierę, bo jeśli tego nie robią, to konkurencja ich wyprzedza. Tu chodzi oczywiście o detale, o zmiany kosmetyczne, ale ich suma, koniec końców, sprowadza się do większej zmiany.



Aleksander Charpentidis z Hubertem Hurkaczem.

W ubiegłym roku zakończyłeś współpracę z Kacprem Żukiem. Jak obaj to określiliście, było to 2,5 roku owocnej pracy. Jak oceniasz ten okres w swoim życiu?

- Bardzo dobrze. Od samego początku czułem z Kacprem chemię, może nawet największą spośród zawodników, z którymi miałem okazję trenować. Na korcie i poza nim czułem się dobrze w jego towarzystwie. Wiadomo, że apetyt rośnie w miarę jedzenia, a po kilkunastu miesiącach pracy, był on bardzo duży.

Awans do pierwszej setki?

- Może nie w ubiegłym roku, ale realny plan był taki, by atakować setkę w kolejnym sezonie. Wciąż są na to szanse, bo kiedy Kacper gra na swoim najlepszym poziomie, to jest w stanie wygrywać z zawodnikami z TOP 100. Musi tylko sobie pewne rzeczy poukładać, a doświadczenie, które już zdobył, pozwala wierzyć, że jest to w jego zasięgu.

Masz w pamięci jego najlepsze mecze?

- Dobrze pytanie. Szczególnie zapadł mi w pamięć pojedynek z Dennisem Novakiem (wówczas 108. ATP – przyp. red.) na ATP Cup, bo był to jego pierwszy tak ważny mecz. Duży stadion wypełniony kibicami, wysoka ranga i przeciwnik w okolicach setki. Przed wyjazdem potrenowaliśmy chwilę i od razu coś zaskoczyło. Już pierwszy

mecz z Marinem Cilicem (zwycięzca US Open 2014, wówczas 39. ATP – przyp. red.) grał jak równy z równym, a zwycięstwo z Novakiem było potwierdzeniem, jak duży potencjał w nim drzemie. Nie tylko tenisowy, ale też mentalny, bo nie każdy dałby sobie radę podczas debiutu w takim turnieju. Jeśli Kacper grał na swoim poziomie, to raczej byłem spokojnym o wynik, bo był w stanie powalczyć z każdym

Pracowałeś także przez lata z Pawłem Zawiszą. Teraz on rozpoczyna swoją przygodę trenerską.

– Przez pewien czas współpracowałem jednocześnie z Pawłem i Michałem Przysiężnym, ale w tamtym okresie, kiedy Michał wszedł do pierwszej setki, to on był priorytetem. Pawłowi życzę jak najlepiej.

Stawki trenerskie są w świecie tenisa tematem tabu. Uchylisz rąbka tajemnicy, ile kosztuje zatrudnienie dobrego trenera na pełny etat?



– To sprawa bardzo indywidualna. Zależy od tego, czy mówimy o trenowaniu zawodnika na poziomie ogólnopolskim, czy takiego, który już aspiruje do gry w ATP Tour. Jest wiele czynników, które mają na to wpływ. Zawodnicy z pierwszej setki zazwyczaj bazują na procencie od wygranych. Stawki wahają się od 5–10 procent. Ci, którzy są jeszcze na dorobku, nie mogą obyć się bez sponsorów, jakim dla młodych polskich zawodników jest chociażby teraz Lotos. W przeciwnym wypadku nie ma szans na profesjonalne trenowanie.

Ile to jest realnie pieniędzy w kieszeni trenera?

– Gaże są mocno zróżnicowane na naszym polskim rynku, ale nawet trenerzy bez spektakularnych sukcesów, ale z rozpoznawalnym nazwiskiem i dorobkiem, w przypadku zatrudnienia na tzw. pełny etat, biorą od 10 tysięcy w górę. Przy obecnych cenach nie jest to jednak wygórowane wynagrodzenie, bo ta praca wiąże się z dużym poświęceniem. Wyjazdy z zawodnikiem na turnieje, to minimum pół roku spędzone poza domem. Większość trenerów robi to jednak z pasji, a nie dla pieniędzy, bo prawdopodobnie zarobiliby więcej grając z koszyka po 10 godzin dziennie.

W Twoim przypadku pasja zwycięża. Masz rodzinę, małą córeczkę i spędzanie połowy roku poza domem nie jest łatwe...

– Jest to o tyle łatwiejsze, że robię to praktycznie od zawsze. Najpierw jako zawodnik, potem trener. Innego życia nie znam. Mam to szczęście, że moja żona też kiedyś grała w tenisa i dlatego dobrze to rozumie. Wiedziała też od początku, że jest to mój pomysł na życie. Mówiąc krótko, nie wyobrażam sobie życia bez tenisa. Jednak masz rację, że przy małym dziecku jest to trudniejsze i dostawałem od jakiegoś czasu sygnały od żony, że nie jest jej łatwo. Kiedy widzisz swoje dziecko codziennie tylko na ekranie telefonu, to mocno cię ciągnie do domu, bo chciałbyś być obecnym, kiedy wypowie pierwsze słowo, czy zrobi swój pierwszy krok. Taką pracę jednak wybrałem i miałem świadomość, że tak będzie.

Teraz będziesz chyba mniej wyjeżdżał. Propozycja pracy od PZT przyszła w dobrym momencie...

- Miałem kilka ofert indywidualnych, ale właśnie ze względu na rodzinę postanowiłem przyjąć pracę w PZT. Tym bardziej, że w mojej ocenie szkoleniowo związek idzie w dobrą stronę.

Który z młodych graczy, których weźmiesz pod swoje skrzydła, ma największe szanse na osiągnięcie sukcesów na miarę Igi, czy Huberta?

- Na pewno trzeba robić wszystko małymi kroczkami. Najpierw chłopcy muszą zacząć odnajdywać się na poziomie challengerów, a potem zobaczymy co dalej. Jest parę ciekawych nazwisk - Kaśnikowski, Pieczkowski, Pawelski. Każdy ma jeszcze sporo do poprawy, ale oni mają papiery na dobre granie. Przed nimi na pewno dużo pracy. Część ma już teraz bardzo profesjonalne podejście, ale nie zawsze robią wszystko to, co należy. Mam na myśli jakość pracy na treningach ogólnorozwojowych, a w szczególności ich intensywność. Jestem przy polskim tenisie już od co najmniej 10 lat. Miałem okazję obserwować ich na wielu zgrupowaniach i widzę jakie mają braki. Kiedy przyjeżdżają do mnie na treningi, to przy średniej intensywności, już po dwóch czy trzech dniach są po prostu wyczerpani. Trening zawodniczy, choć potrzebuje elementów rytmicznego przebijania kształtującego regularność, jest dziś bardziej urozmaicony, idący w schematy rozgrywania punktów. Niestety, jeszcze nie wszyscy trenerzy w taki sposób prowadzą zajęcia. Młodych zawodników trzeba uświadamiać, że istnieje znacznie więcej sposobów na wygranie meczu, niż im się wydaje. Wielu polskich zawodników wie, jak odbijać piłkę, ale nie wie, jak grać w tenisa. Chodzi przede wszystkim o skuteczność. Jak rozgrywać punkty, żeby wykorzystywać swoje mocne strony i ostatecznie je wygrywać. Jak umiejętnie wykorzystywać słabe strony przeciwnika, przejmować inicjatywę i grać na własnych warunkach. Tu widzę największe pole do poprawy u wszystkich polskich tenisistów. Zadaniem związku, a co za tym idzie także i moim, będzie edukowanie i ukierunkowywanie tych chłopaków we właściwą stronę, tak aby mieli jak największe szanse na sukcesy w przyszłości.



- Trening zawodniczy, choć potrzebuje elementów rytmicznego przebijania kształtującego regularność, jest dziś bardziej urozmaicony, idący w schematy rozgrywania punktów - uważa Aleksander Charpantidis.

Zdobyłeś też sporo trenerskiego doświadczenia jako drugi trener reprezentacji Polski w Pucharze Davisa. Co należało wówczas do Twoich obowiązków?

- Przede wszystkim rolą trenerów na Davis Cupie jest dbanie o atmosferę. Oczywiście ważnym elementem jest przygotowanie taktyki zawodnika na dany mecz, ale najważniejsze było dla nas dbanie o to, żeby zawodnicy czuli się z nami dobrze. Zarówno ja, jak i Radek Szymanik, znaliśmy chłopków od bardzo wielu lat i wiedzieliśmy, co lubią, a czego nie. Do kadry są powoływani już zawodnicy ukształtowani, więc nie ma sensu uczyć ich odbijania forhendu czy bekhendu. Często sam prowadziłem treningi, kiedy Radek miał inne obowiązki, np. konferencje prasowe, spotkania kapitanów czy ze sponsorami i zależało mi, żeby były jak najbardziej pozytywne.

Czy trener bez przeszłości zawodniczej może osiągnąć sukces w zawodzie?



- To bardzo złożony temat. Kiedyś mówiło się o tym, że trener tenisa nie musi nawet umieć grać, np. szkoleniowiec Stefana Edberga. Teraz już jednak byłoby ciężko, przynajmniej u mężczyzn, żeby bez własnego doświadczenia na korcie zostać dobrym trenerem. Poza przekazywaniem wiedzy tenisowej i taktycznej trzeba też być poniekąd psychologiem, czy się tego chce, czy nie. Przebywając z zawodnikiem w ciągu roku przez więcej czasu niż z własną rodziną, trzeba bardzo uważać na to, co się mówi, bo każde słowo, np. wypowiedziane podczas kolacji, może mieć znaczenie. Nawet wtedy pośrednio trenuje się zawodnika, mówiąc w luźnej rozmowie odpowiednie słowa. On nawet nie musi się domyślać, że są one wypowiedziane z premedytacją. Żeby mieć odpowiednie przemyślenia, trzeba było grać na jakimś poziomie, żeby wiedzieć, co zawodnikowi przekazać. Trzeba wyczuć tę nić porozumienia między rakieta a głową.

W latach 90., kiedy dorastałeś, mieliśmy w Polsce tenisową pustynię, jeśli chodzi o duże sukcesy na arenie międzynarodowej. Na tym tle, obecnie żyjemy w złotej erze polskiego tenisa. W jakim kierunku Twoim zdaniem zmierza dyscyplina w naszym kraju?

- Hmm to jest bardzo dobre pytanie. Myślę, że na dłuższą metę najważniejsze jest to, co dzieje się od samej góry. Jeżeli związek wspiera zawodników, pomaga im finansowo i udostępnia miejsca do treningów, to przynajmniej w teorii, wszystko powinno iść w dobrą stronę. Lekkim znakiem zapytania jest dla mnie kwestia liczby dobrych trenerów. To nie znaczy, że nie mamy wykwalifikowanych szkoleniowców, ale nie jest ich jeszcze zbyt dużo.

Sporo zawodników z Twojego pokolenia, którzy byli świetnymi juniorami, ale może nie mieli wystarczająco dużo szczęścia, czy możliwości na rozwój swoich karier, poszło w kierunku trenerskim...

- Na pewno fajnie, że część byłych zawodników angażuje się dalej w tenis. Nawet jeśli pod kątem sztuki trenerskiej są jeszcze na dorobku, to samym swoim doświadczeniem są w stanie przekazać podopiecznym olbrzymią dawkę wiedzy. Jest coraz więcej spotkań i kursów, które pozwalają im się doksztalać. Kiedy jeżdżą ze swoimi zawodnikami na turnieje międzynarodowe, to tam, obserwując co się dzieje, automatycznie zdobywają wiedzę i doświadczenie. Podpatrują jak trenują inni, jak przygotowują się do turniejów itd. Wracając do pytania o kierunek, to myślę, że wszystko idzie w dobrą stronę, ale trudno powiedzieć, kiedy będą tego wyraźne efekty. To jest długi proces, nic nie dzieje się z dnia na dzień.

Czy Twoim zdaniem powstanie Superligi przyczyni się do rozwoju tenisa w Polsce?

- Jest to projekt zrobiony z pompą. Każda forma popularyzacji tenisa jest dobra. Niektórzy powiedzą, że za te pieniądze można było zorganizować w Polsce turnieje rangi Futures, żeby młodzi zawodnicy nie musieli wyjeżdżać i zdobywali swoje pierwsze punkty do rankingu ATP na miejscu. Trzeba jednak pamiętać, że sponsorzy dali pieniądze na konkretny projekt, bo widzą w nim potencjał. Myślę, że trzeba dać mu szansę, bo ostatnie dwadzieścia lat, kiedy nie było w Polsce rozgrywek drużynowych, pokazuje, że nie jest wcale tak łatwo je zorganizować. Można dyskutować nad formą rozgrywek i nad tym, czy faktycznie przyczyni się do rozwoju polskiego tenisa, ale łatwiej krytykować nic nie robiąc, niż coś robić. Na pewno od czegoś trzeba zacząć.

Znamy się od prawie 30 lat i pamiętam Twoje mecze z rozgrywek we wszystkich kategoriach wiekowych - od skrzata po juniora. W mojej ocenie byłeś tak samo dobry, jeśli nie, pod kilkoma względami, lepszy, od obecnych czołowych juniorów. Spektakularnych sukcesów na arenie międzynarodowej jednak nie odniosłeś. Mówiąc brutalnie - co poszło nie tak?

- Jak trzeba kogoś obwiniać, to trzeba zacząć od siebie i własnej głupoty. Na pewnym etapie zwyczajnie zabrakło mi profesjonalnego podejścia.

Dało się w tamtych czasach, przy znikomym wsparciu finansowym, mieć to podejście?

- Tak, dało się. Oczywiście... czy „ogólnorozwojówka” i wiedza o przygotowaniu fizycznym była w Polsce na takim poziomie? Nie. Czy mieliśmy doświadczonych trenerów, którzy wiedzę zdobywali na arenach międzynarodowych? Nie. Czy jakość treningów była na poziomie ATP? Nie. Jednak w gruncie rzeczy są to tylko wymówki. Nie jest powiedziane, że gdybym trenował maksymalnie profesjonalnie, to by mi się udało, ale trzeba to wziąć na klatę. Nieodpowiednie, młodzieńcze decyzje... Na przykład zamiast iść spać, szło się na imprezę. Takie podstawowe rzeczy, które na pewno miały wpływ na formę. Człowiek był młody i głupi, poczuł trochę wolności, a starsi koledzy nie dawali najlepszego przykładu. Na pewno szkoda, że nie mieliśmy takiej osoby, która mówiła nam: „Nie rób tak, bo ja tak zrobiłem i nie skończyło się to dobrze. Już przez to przeszedłem. Nie popełniaj moich błędów”. Nie było kogoś, kto by nas przypilnował i poprowadził w odpowiednim kierunku. Koniec końców, to jednak każdy odpowiada sam za siebie i ponosi konsekwencje własnych czynów, które na tamtym etapie z mojej strony były po prostu głupie i tylko do siebie mam

o to pretensje.

W młodszych kategoriach wiekowych byłeś znacznie silniejszy fizycznie od swoich rówieśników. W połączeniu z talentem do tenisa, dawało Ci to sporą przewagę i w konsekwencji wiele tytułów mistrza Polski w każdej kategorii. Praktycznie nie przegrywałeś z rywalami ze swoich roczników. Potem jednak fizycznie Cię dogonili i porażek było więcej. Czy to przyzwyczajenie do wygrywania miało wpływ na Twoją sferę mentalną w późniejszym etapie?

– Wprawdzie w swojej kategorii wiekowej nie przegrywałem za dużo meczów, ale grałem też turnieje zagraniczne w starszych kategoriach, gdzie przegrywałem regularnie. Sam wiesz, jaka jest przepaść między 12. a 14. rokiem życia. W skrzatach w drodze do zwycięstwa traciłem pojedyncze gemy, a w młodzikach odpadałem w pierwszej lub drugiej rundzie. Także tych porażek wcale nie było zbyt mało. Wręcz przeciwnie, dopóki trenowałem, sfera mentalna zawsze była moją mocną stroną. Nawet kiedy nie byłem w najlepszej formie fizycznej, miałem takie poczucie na korcie, że zawsze, niezależnie od wyniku, ostatecznie znajdę sposób na wygranie meczu. Im ważniejszy pojedynek, im ważniejsza piłka, tym bardziej lubiłem takie sytuacje. Niestety po wyjeździe na studia do Stanów, gdzieś to zgubiłem.

No właśnie, czy uważasz po latach, że ten wyjazd był właściwym krokiem?

– Z perspektywy czasu, w sytuacji takiego trochę zagubienia życiowego, myślę, że tak. Oczywiście bez przesady, nie szlałem się przecież po dworcach, czy coś w tym rodzaju, ale w tamtym okresie za dużo było przyjemności i pokus. Potrzebowałem oderwania się od nie najlepszego towarzystwa i po prostu dojrzewania. Na tamtym etapie, to była na pewno najlepsza decyzja, jaką mogłem podjąć. Ten wyjazd ukształtował mnie jako człowieka i pokazał, że muszę umieć sam o sobie zadbać. Podczas pobytu w USA, przez całe wakacje ciężko pracowałem. Niemal codziennie, po 10–11 godzin, udzielałem lekcji w klubie na Long Island, żeby mieć pieniądze na życie na cały rok akademicki.



Aleksander Charpantidis podczas treningu.

Kiedy w Twojej głowie zakiełkowała myśl, że już nie będziesz zawodowym tenisistą?

- Wiedziałem to już lecąc do Stanów. Czułem już wtedy, że ten pociąg mi uciekł.

Miałeś wówczas 19 lat?

- Tak, ale już mając 18 czułem, że nic z tego nie będzie.

Naprawdę? Myślisz, że grałeś wtedy gorzej niż aktualna czołówka Polski w tym wieku? Przecież oni wciąż wierzą, zresztą nie bezpodstawnie, że zostaną zawodowymi tenisistami...

- Pewnie nie gorzej, aczkolwiek pamiętaj, że 20 lat temu było u nas zupełnie inne postrzeganie tenisa. Wtedy jak przyjeżdżał ktoś z zagranicy do nas na Futuresy, to wydawało nam się, że to jest gość z innej planety. Nasz najwyżej notowany zawodnik był pod koniec trzeciej setki, a dla nas wielki świat tenisa, był czymś bardzo odległym. Teraz jak juniorzy przyjeżdżają na kadrę, to mają obok siebie trzech lub czterech chłopaków z dwusetki. Oprócz tego na korcie obok trenuje Świątek, gdzieś tam przechadza się Janowicz... To zupełnie inny mentalny punkt wyjścia. Wiara w sukces jest znacznie większa, bo oni już to osiągnęli, przetarli szlaki, pokazali, że się da! Mieliśmy wtedy bardzo dużą grupę, mniej więcej trzydziestu zawodników grających na bardzo dobrym poziomie, ale ani jednego, który osiągnął wielki sukces. Teraz jest czterech czy pięciu, którzy grają lepiej niż ta trzydziestka, ale ta grupa byłaby lepsza od wszystkich innych teraz. To jeśli chodzi o czysto tenisowy poziom. Jednak patrząc na sferę mentalną, która w tenisie jest najważniejsza, to zmiana jest ogromna. Jeśli sobie pomyślimy: tylko nie zrób błędu, to go od razu zrobimy. Jeżeli nie wierzymy do końca, że możemy zwojować świat... no to go nie zwojujemy! Choćbyśmy nie wiem jak się starali. I my, i osoby z zewnątrz. Jak już wcześniej wspominałem nie było też trenerów, którzy mieli za sobą współpracę ze znanymi zawodnikami i zebrali doświadczenia w świecie. Sytuacja była ogólnie całkiem inna. Gdybyśmy ją przenieśli na obecne czasy, może byłoby inaczej. Do dziś uważam, że gdybym zaczął grać na poważnie w debla w wieku 30 lat, to jeszcze miałbym szansę na dobre wyniki.

Zostałeś jednak ostatecznie trenerem, który pomaga nowemu pokoleniu polskich zawodników w osiągnięciu tego, co nie udało się Tobie. Wyobrażasz sobie siebie w innej roli?

- Szczerze mówiąc nie. Mam to szczęście, że całe życie robię to, co kocham. Dopóki sytuacja zdrowotna nie zmusi mnie do porzucenia tego fachu, albo jeśli nikt już nie będzie chciał ze mną trenować, to na pewno dalej będę to robił.

Czy jesteś szczęśliwy?

KANWA
APARTAMENTY

ZAMOYSKIEGO 24/26
WARSZAWA

PRZESTRZEŃ, KTÓRĄ TWORZYSZ

Apartamenty na warszawskiej Pradze
z widokiem na Jezioro Kamionkowskie

SPRAWDŹ OFERTĘ →



– Na pewno tak. Każdy oczywiście ma ambicje, więc mimo tego, że na co dzień jestem szczęśliwy, to nie jestem jeszcze spełniony.

Spełnieniem byłby wielki sukces trenerski?

– Tak. Chciałbym doprowadzić jakiegoś zawodnika do absolutnego topu. To już nie jest tylko marzenie, ale cel, bo od wielu lat ocieram się o wielki świat tenisa.

Patrząc na Craiga Boyntona, masz na jego realizację jeszcze sporo czasu.

– Zgadza się. W przyszłości planuję wrócić do indywidualnego trenowania zawodników. Teraz chcę czynnie uczestniczyć w wychowywaniu mojego dziecka, ale za 2–3 lata chciałbym znów bardziej się temu poświęcić. Na pewno nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa w tej dziedzinie.

Jakie są Twoje marzenia nie związane z tenisem?

– Jak każdy rodzic, chcę żeby moje dziecko było zdrowe, a potem wyrosło na dobrą i szczęśliwą osobę. A z pozostałych marzeń... odkąd studiowałem w Stanach gram w pokera i chciałbym kiedyś wygrać jakiś większy turniej pokerowy (*śmiech*). Paru chłopaków z tenisowego towarzystwa zaraziłem też tą pasją.

Udało się coś na tym zarobić?

– W Stanach kiedyś więcej ludzi grało i łatwiej było wygrywać, dzięki czemu wróciłem do Polski ze sporym kapitałem, który pozwolił mi kupić auto i wyremontować dom. Teraz już gram tylko hobbystycznie.

To też trening odporności na stres, który przydaje się w Twojej pracy...

– Przede wszystkim trening cierpliwości, ale też na pewno jest to zastępstwo adrenaliny, która towarzyszyła mi na korcie podczas rywalizacji.

Nie pojawia się ona, kiedy Twój zawodnik gra ważny mecz?

– Dawniej siedząc na trybunach trochę się denerwowałem, ale z biegiem lat jestem coraz spokojniejszy. Kiedyś ktoś mnie zapytał podczas meczu mojego podopiecznego: „Po co się denerwujesz? Czy on będzie grał lepiej, kiedy będziesz się stresował? Tylko możesz mu zaszkodzić”. To mocno do mnie trafiło. Jasne, że przy bardzo

ważnych meczach odczuwam zdenerwowanie, a tętno lekko skacze, ale ostatnie pojedynki, podczas których bardziej się stresowałem, były w początkowym okresie pracy z Michałem. Teraz kiedy jestem zdenerwowany, to ewentualnie tylko po meczu... na swojego zawodnika, kiedy nie wykonał naszych taktycznych założeń (*śmiech*).

Rozmawiał Grzegorz Święcki



Czytaj online i udostępnij:

<https://tenismagazyn.pl/aleksander-charpantidis-mam-szczescie-bo-cale-zycie-robie-to-co-kocham/>